

W stanie lewitacji

29 czerwca 2010

Pierwsza tura wyborów prezydenckich nie przyniosła sensacji, chyba, żeby za taką uznać czwarte miejsce Janusza Korwin-Mikkego, który z wynikiem 2,48 proc. wyprzedził przewodniczącego PSL Waldemara Pawłaka (1,75 proc.) i Andrzeja Olechowskiego (1,44 proc.). Jeśli było coś sensacyjnego, to rozbieżności między sondażami a wynikami. Niektóre sondażownie, odpowiadając na tak zwane społeczne zamówienie, stwierdziły nawet 10-procentową przewagę Bronisława Komorowskiego nad Jarosławem Kaczyńskim, zaś wszystkich przelicytowała żydowska gazeta dla Polaków, czyli „Gazeta Wyborcza”, w porywie serca gorejącego przyznając marszałkowi Komorowskiemu 51 procent, czyli zwycięstwo już w pierwszej turze.

Nastąpił jednak bolesny powrót do rzeczywistości, bo oficjalny rezultat faworyta razwiedki i salonu okazał się znacznie skromniejszy. Marszałek Komorowski uzyskał bowiem tylko 41,54 proc., wyprzedzając Jarosława Kaczyńskiego (36,46 proc.) zaledwie o 5 procent. Dobry wynik uzyskał natomiast przewodniczący SLD Grzegorz Napieralski (13,68 proc.), co pokazuje, że demonstracyjne poparcie, jakiego na kilka dni przed pierwszą turą udzielił Bronisławowi Komorowskiemu Włodzimierz Cimoszewicz, ani nie zrobiło żadnego wrażenia na zwolennikach SLD, ani nie przyniosło marszałkowi upragnionego sukcesu. Cimoszewicz okazał się wydmuszką i jeśli nawet za to poparcie uzyskał od Platformy jakieś obietnice, to w myśl klauzuli rebus sic stantibus mogą one być anulowane.

Warto jeszcze na marginesie odnotować słaby wynik Marka Jurka (1,06 proc.), którego wyprzedził nawet polityk po przejściach, czyli Andrzej Lepper (1,28 proc.). Wygląda na to, że z osobą Marka Jurka raczej trudno już wiązać nadzieje na powstanie nowej formacji na politycznej scenie. W ogóle, jeśli nie liczyć Grzegorza Napieralskiego, kandydaci „drugiego planu”

uzyskali razem wynik w granicach 10 procent, co pokazuje, że scena polityczna jest sprawnie kontrolowana przez rozwiadkę. Urządzając wyborcze igrzyska, musi ona wprowadzić dopuszczać pewien margines spontaniczności, w ramach którego harczą sobie rozmaici naturszczycy – ale przy pomocy zastrzyków finansowych i agentury, uplasowanej m.in. w sondażowniach, ale przede wszystkim – w tzw. niezależnych mediach i innych ośrodkach opiniotwórczych – bacznie pilnuje, by ten margines pod żadnym pozorem się nie powiększył. W rezultacie spontaniczny margines tylko bezpiecznie uwiarygadnia tę socjotechniczną operację.

Część opinii publicznej najwyraźniej zdaje sobie już z tego sprawę i odmawia statystowania w tych widowiskach. Również w pierwszej turze wyborów prezydenckich frekwencja wyniosła zaledwie 54,94 proc., co pokazuje, że prawie połowa dorosłych Polaków doszła do wniosku, że szkoda się fatygować do głosowania. Oczywiście motywacje absencji nie były w każdym przypadku identyczne; część ludzi, zwłaszcza z terenów dotkniętych powodzią, nie miała głowy do polityki, część nie poszła głosować, żeby w ten sposób zemścić się na władzy, część uznała, że nie ma w czym wybierać, część w ogóle niczym się nie interesuje, ale wydaje się, że rośnie też odsetek emigrantów wewnętrznych. Jest to uboczny skutek oligarchizacji życia politycznego, sprawiającej, że wprowadzić zmieniają się partyjne szyldy, ale pod tymi szyldami, „w tłumie wciąż te same twarze: oszusta i potępionego” – jak czytamy w wizjach św. Ildefonsa. Najgorsze jest jednak to, że ludzie, którzy przez ostatnie 20 lat zdążyli sprawować już wszystkie funkcje publiczne, najwyższych stanowisk nie wyłączając, nie mają żadnych, ale to absolutnie żadnych pomysłów na zmianę sposobu funkcjonowania państwa. Ta stagnacja leży jak najbardziej w interesie rozwiadki, która z zatwierdzonego przy „okrągłym stole” modelu państwa ciągnie grubą rentę, jak i w interesie strategicznych partnerów, którzy nie życzą sobie stworzenia w interesującym ich obszarze nawet pozorów siły.

Toteż najmocniejszym akcentem przekomarzania między faworytami tych wyborów był proces sądowy wytoczony przez Bronisława Komorowskiego Jarosławowi Kaczyńskiemu za przypisanie kandydatowi Platformy Obywatelskiej niecnego zamiaru prywatyzacji sektora ochrony zdrowia, a w szczególności – szpitali. Marszałek Komorowski z oburzeniem te „insynuacje” odrzucił, zaś niezawisły sąd, po kilkudniowej wędrówce sprawy przez instancje, ostatecznie zakazał Jarosławowi Kaczyńskiemu powtarzania tych nieprawdziwych informacji. I chociaż odbył się „okrągły stół” poświęcony ocenie stanu ochrony zdrowia z udziałem Jarosława Kaczyńskiego, Grzegorza Napieralskiego, Waldemara Pawłaka i reprezentującej PO minister Ewy Kopacz, to nic specjalnego tam nie wymyślono poza konstatacją, że cała ta służba zdrowia dobrze nie wygląda. Ano – „koń, jaki jest – każdy widzi”, natomiast charakterystyczne jest, że żaden z uczestników tych palawerów nie zauważył, iż służba zdrowia, ze szpitalami na czele, jest jak najbardziej państwowa, co najwyraźniej nie immunizuje jej przed patologiami i niewydolnością.

Temu brakowi spostrzegawczości nie można się dziwić. W biurokratycznej otoczce, jaką obrósł sektor ochrony zdrowia, podobnie zresztą, jak wszystkie inne, ma swoje żerowisko nie tylko agentura, ale również zwyczajni członkowie politycznego zaplecza wszystkich ugrupowań parlamentarnych, więc jest oczywiste, że ich liderzy, będący zakładnikami swego zaplecza, nie będą podcinali gałęzi, na której siedzą. Ale ta stałość ma też swoją cenę, która objawiła się właśnie teraz; nie chcąc podcinać gałęzi, na której siedzą, faworyci tych wyborów zostali zmuszeni do skakania z gałęzi na gałąź przed Grzegorzem Napieralskim.

W przypadku marszałka Komorowskiego, który na pierwszym miejscu postawił na „współpracę z rządem” – mając oczywiście na myśli razwiedkę, bo przecież nie rząd Jarosława Kaczyńskiego, jaki teoretycznie może przecież pojawić się po wyborach w roku 2011 – „można zeń wszystko zrobić i w każdą

formę ulepić". Nic zatem dziwnego, że odpowiada pozytywnie na wszystkie żądania, jakimi obwarował obietnicę swego poparcia Grzegorz Napieralski, a wśród których na pierwszym miejscu jest przyjęcie Karty Praw Podstawowych – tego „Manifestu Komunistycznego” Unii Europejskiej, zgoda na refundowanie z budżetu zapłodnień w szklance, czyli „in vitro”, no i parytet dla kobiet – tej awangardy proletariatu zastępczego nowej lewizny. W końcu PO też była za przyjęciem Karty Praw Podstawowych, a w sprawie szklanki „dyskutowała”, podobnie jak w sprawie „parytetów”.

W przypadku Jarosława Kaczyńskiego natomiast te umizgi wypadły nieco gorzej, wręcz komicznie, budząc, z jednej strony, konsternację części jego zwolenników, a z drugiej – szyderstwa wrogów, w osobach wyciągniętego z łamusa Jerzego Urbana i funkcjonariusza żydowskiej gazety dla Polaków, red. Pawła Wrońskiego, który zadeklarował nawet swój głos dla prezesa PiS, jednakże pod warunkiem, że zaśpiewa on „Międzynarodówkę”. Trudno zatem zgadnąć, czy tę taktykę doradził mu jakiś kretyn, czy też dywersant, bo jeśli nawet wyborcy Grzegorza Napieralskiego będą głosowali na Jarosława Kaczyńskiego, to przecież nie ze względu na jego metamorfozy ideowe, tylko przede wszystkim – z obawy przed zbytnim rozpanoszeniem Platformy, nie tyle politycznym, bo prawdziwą władzę mocno trzyma w ręku razwiedka – co jej ekspansją na żerowiskach – bo właśnie dostęp do nich decyduje o możliwościach rozwoju ugrupowań politycznych.

Największym wydarzeniem, wręcz ucztą duchową, jaką dla publiczności przygotowały sztaby obydwu faworytów, mają być telewizyjne „debaty”, w ramach których kandydaci będą przesłuchiwani przez funkcjonariuszy razwiedki, poprzebieranych za dziennikarzy rozmaitych stacji telewizyjnych, odpowiadając na pytania o różnicy między przodkiem a tyłkiem i w jaki sposób będą przychylali wszystkim nieba i tak dalej. Obiecuję sobie po tym wiele uciechy, ponieważ właśnie ogłoszono, że – jak ustalił niemiecki

minister spraw zagranicznych, ostentacyjny sodomita Gwidon Westerwelle, podczas bliskiego spotkania III stopnia z ministrem Radosławem Sikorskim w grudniu ubiegłego roku – od 1 sierpnia br. tubylczemu ministerstwu spraw zagranicznych, a konkretnie – odpowiedzialnemu za „integrację”, czyli podporządkowywanie Polski Eurosojuzowi, to znaczy – Naszej Złotej Pani Anieli – panu Mikołajowi Dowgielewiczowi zostanie przydzielony niemiecki Doradca Doskonały. Gwoli podtrzymania wrażenia symetrii, również w niemieckim Auswartiges Amt pojawi się pan Wojciech Pomianowski. Co on tam będzie doradzał, to jeden Pan Bóg wie, natomiast nietrudno się domyślić, że rola współczesnego, tym razem niemieckiego Ottona Magnusa von Stackelberga, będzie nieporównanie większa nawet od dotychczasowego konsyliarza premiera Tuska, pana Bartoszewskiego.

Czyż w tych warunkach buńczuczne opowieści kandydatów, jak to będą prowadzili „politykę zagraniczną”, nie będą w stanie wzbudzić naszej wesołości? W końcu tyle naszego, że – póki jeszcze można – trochę się pośmiejemy.

Autor: Stanisław Michalkiewicz

Źródło: [Goniec](#)